

MARTA KŁADŹ-KOCOT

NOC KOTA

DZIEŃ SOWY



*Mojemu Najbliższemu Mirkowi
i Tośce, Najwspanialszej Siostrze na Świecie
– dwóm Najbardziej Kocim Osobowościom*

SPIS TREŚCI

CZAS INNYCH MIEJSC	9
CZAS WIĘZÓW	76
CZAS ROZSTAJNYCH DRÓG	168
CZAS TEGO, CO BĘDZIE	226
CZAS ŚWIATA, CZAS MIASTA	266

W pierwszym tomie...

Zamek Cieni

Do Castelburga przybywa wysłannik Bractwa, młody Virbio Allenmargh. Powierzono mu pewną misję – powinien skontaktować się ze szpiegiem, Dionisiusiem Grandinim, i razem z nim zorganizować spisek mający na celu obalenie Księcia, który kilka lat wcześniej przejął władzę nad miastem i tajemniczym Zamkiem Cieni. Grandini, który swoje informacje czerpie od zamkowej ochmistrzyni, Giulii Baldini, podejrzewa, że Książę posługuje się magią, chce więc zwerbować do pomocy czarodzieja Jardala, zamieszkującego w castelburskiej wieży. Virbio dowiaduje się, że wraz z magiem mieszka młoda kobieta, czarodziejka Mitria, znana również jako Mear de Witten, uboga krewna księżąt Cantaleny.

Mitria i Jardal zostali wygnani z Emain Avallach, siedziby magów, kiedy odkryto, że łączy ich zakazana miłość. Rzucono na nich czar: Jardal w nocy zmienia się w kota, a Mitria za dnia przybiera postać sowy. Mogą przebywać ze sobą w ludzkiej postaci tylko dwa razy na dobę: podczas porannej i wieczornej Godziny Zmieszania Świąteł. Chcieliby wyzwolić się od klątwy, ale nie wiedzą, czy można w jakikolwiek sposób wpłynąć na to, by przywódczyni magów i Mistrzynie Glinianej Pieczęci, Evelyn von Stein, zmieniła zdanie i cofnęła zaklęcie. Nikt oprócz Mitrii nie wie o tym, że Jardal jest Wędrowcem Świątów, kimś, kto żył wiele razy w różnych rzeczywistościach i potrafi przenieść się do Międzyświata. Oboje z Mitrią mają przeszłość, której nie zdradzili współtowarzyszom

z Emain Avallach: Jardal przybył do tego świata ściągnięty przez ułomnego maga Mime'a, którego następnie w wyniku tragicznego splotu okoliczności zabił, a Mitria przeżyła naprawdę nieprzyjemnie dzieciństwo pod opieką zimnej ciotki i obojętnego wuja.

Rodzącą się pomiędzy Mitrią i Jardalem miłość zaczynają obserwować Prządki Rzeczywistości. Wiedzą one, jak wielką moc mają opowieści o miłości, próbują więc wyłuskać tę jedną nić z kłęba możliwych zdarzeń i obdarzyć ją pełną uwagę. Dla Prządki, które widzą wszystkie możliwe odnogi kłęba, cały możliwy splot potencjalnych odgałęzień rzeczywistości, jest to zadanie trudne. Muszą zrezygnować z własnej wszechwiedzy i dostosować swoją percepcję do śledzenia ułomnych ludzkich działań – takie Obserwowanie czynią więc przedmiotem Eksperymentu. Będą z uwagą śledziły, jak tworzy się opowieść.

Zanim wygnano Mitrię i Jardala, Mistrzynie podjęła jeszcze jedną kontrowersyjną decyzję. Skazała na śmierć Bibliotekarza z Emain Avallach, Torego Harberga, człowieka na pozór niepozornego i skromnego. Inny mag, Adelard z Tradivy, odkrył obciążające Torego listy, wysyłane do władców i wywiadów wielu państw-miast. Treść listów wskazywała na polityczną intrygę: Bibliotekarz chciał zmienić układ sił i zakulisowo sterować mechanizmami władzy. Ingerowanie w polityczne i historyczne przemiany, zwane w świecie magów obrotami Koła Dziejów, było surowo zabronione, Tore poniósł więc śmierć, a nikt z Kręgu ani Kapituły nie sprzeciwił się tak okrutnemu wyrokowi. Magowie czuli się potem jednak wyjątkowo parszywie, zaczęli więc stopniowo opuszczać Emain Avallach. Adelard z Tradivy jakiś czas później odkrył, że sama Mistrzynie zniknęła z Emain, a w Komnacie Pieczęci pozostał jedynie jej zausznik, Hargon z Emmendath. Evelyn komunikuje się z nim za pomocą lustrzanego telepor-

tu i zmusza do posyłania tą drogą nieprawdopodobnych ilości magicznej energii.

Tymczasem w Castelburgu Grandini próbuje zorganizować rewolucję i zamach na Księcia, jednak na każdym kroku napotyka na opór. Jardal nie wydaje się chętny do współpracy, zaangażowany w sprawę bankier Fosci wysuwa własne roszczenia, a dawni castelburscy patrycjusze, obecnie tworzący Bractwo, okazują się bandą nadętych i tchórzliwych, za to przekonanych o własnej ważności głupców. Angażują po swojej stronie słynnego dowódcę kondotierów, Jastrzębia, jednak nie mają konkretnego planu ataku na Zamek Cieni. Przywykli do tego, że oni rozkazują, a inne sprawy organizują się same. Kiedy więc namówiony przez Grandiniego Jardal przybywa w końcu na spotkanie Bractwa, kończy się ono raczej nieprzyjemnie. Powracający z tego zebrania mag zostaje pojmany i zamknięty w lochach pod Zamkiem Cieni, a Grandini nie ma pojęcia, kto i dlaczego zdradził.

Tymczasem Mitria odkrywa, że klątwa słabnie, kiedy znajduje się daleko od Jardala. Może wtedy dobrowolnie zmieniać się w sowę lub pozostawać we własnej postaci, zależnie od woli i potrzeby. Udaje się do Tir Taingiri na spotkanie z inną czarodziejką, Vereną Haage, licząc na to, że uzyska jakieś wartościowe informacje. Razem próbują ocalić od katastrofy przybijający do portu statek. Wśród ocalonych rozbitków znajduje się mag Justin Fern, który przyłącza się do kompanii. W wieży w Tir Taingiri zastaje Mitrię posłaniec z listem od Grandiniego, informującym o aresztowaniu Jardala. Czarodziejka w pośpiechu wyrusza do Castelburga, a Justin i Verena postanawiają jej towarzyszyć. Od Justina czarodziejki dowiadują się również, że krążą pogłoski o zniknięciu Mistrzynie Evelyn von Stein i o tym, że kryzys w Emain Avallach ma jakiś związek z tym, co dzieje się w Castelburgu.

Za aresztowaniem Jardala stoi – o czym Grandini nie ma pojęcia – Giulia Baldini, zamkowa ochmistrzyni, która

pierwotnie zadeklarowała udział w spisku przeciwko Księżciu. Nikt jednak nie wie o tym, że Sirocco, groźny dowódca książęcej Gwardii Morgh, jest w istocie kobietą o nazwisku Lorentina Baldini, córką Giulii, a sama ochmistrzyni śmiertelnie nienawidzi magów, ponieważ jeden z nich uwiódł ją kiedyś, a kiedy zaszła w ciążę, zostawił.

Mitria z towarzyszymi przybywa do Castelburga i próbuje dowiedzieć się od Grandiniego, co się wydarzyło i jak uwolnić Jardala. Okazuje się, że spiskowcy, przerażeni aresztowaniem czarodzieja, zaniechali wszelkich działań i uciekli w popłochu, a zirytowany takim postawieniem sprawy kondotier Jastrząb odmówił dalszej współpracy. Mitria nie jest zainteresowana obaleniem Księcia, chce jedynie za wszelką cenę uwolnić Jardala. Z braku lepszego pomysłu postanawia posłużyć się swoim książęcym tytułem i złożyć tyranowi oficjalną wizytę. W tym celu Grandini werbuje dla niej „switę” w postaci trzech portowych dziwki i jednej mieszczańki. W asyście Justina Ferna i Virbia wyruszają do Zamku Cieni i ku własnemu zdziwieniu zostają wprowadzeni do środka, a Księżę udziela im audiencji. Niewiele się jednak o nim dowiadują – widzą tylko zbroję, z której wnętrza ktoś przemawia głuchym głosem. Księżciu towarzyszy tajemnicza kobieca postać, okryta welonem.

W czasie audiencji wydarza się coś dziwnego – wszystko spowija mgła, a Mitria i jej towarzysze stopniowo zostają rozdzieleni. Każdego z nich spotyka inna przygoda, każdy ma własną wizję. Justin spotyka dawno zmarłą ukochaną, panny lekkich obyczajów ludzi, którzy je kiedyś prześladowali, a mieszczańeczka Fionka potwornego skorpiona z ludzką głową. Mitria trafia najpierw do lustrzanej sali, a potem do wyobrażonej krainy umarłych, gdzie napotyka Gilgamesza, mitycznego bohatera. Tymczasem Virbiowi zwiduje się, że czarodziejka go uwiódła. Stopniowo Mitria odkrywa, jak unieważnić magię luster i unicestwić wiarę w opowieści, które przejmują władzę nad bohaterami. Gilgamesz okazuje się jednak kimś więcej niż tylko ułudą wytworzoną przez Zamek

Cieni. Połączeni członkowie drużyny schodzą do zamkowych lochów, żeby poszukać Jardala, i znajdują go, niesionego przez dwóch pacholków i eskortowanego przez kobietę w stroju gwardzisty. Udaje im się odbić go i wydostać z Zamku Cieni, choć na dziedzińcu sługa Księcia, Machiavello Niccoli, zapowiada im, że będą musieli powrócić i stawić czoła widmom i cieniem podświadomości, które Zamek z nich wydobył.

Uwolniony Jardal pozostaje nieprzytomny. Został poddany torturom i aby uciec od okrutnych majaków, przeniósł się połowicznie do Międzyświata. Tylko Mitria podejrzewa, co tak naprawdę się z nim stało, nie zdradza się jednak przed towarzyszami, bo zdaje sobie sprawę, że Wędrowcy Światów są przez czarodziejów postrzegani jako zagrożenie – i najczęściej eliminowani. Czarodziejka obawia się gróźb Machiavella Niccolego i decyduje, że wszyscy, którzy odwiedzili Zamek Cieni, powinni opuścić miasto. Do wyprawy przyłączają się Grandini i Verena Haage, którzy zostają również kochankami – ale dopiero po nocy spędzonej w wieży magów, kiedy Verenę odrzucił Justin Fern, wierny pamięci zmarłej ukochanej.

Kiedy wędrowcy docierają do małej miejscowości zwanej Verit, natrafiają na egzekucję tarrenckiego szpiega – co szalenie oburza Justina, który jest z pochodzenia tarrenckim arystokratą. Zwłaszcza że młodzieniec, którego poduszczeni przez kapłana rajcy chcą powiesić, nie jest ani szpiegiem, ani nawet Tarrentczykiem. Mimi, jedna z portowych prostytutek, rozpoznaje w nim swojego dawnego znajomego, Janto z Ugrii. Ocala chłopaka spod szubienicy, decydując się go poślubić. Reszta kompanii wyrusza w dalszą podróż. Mitria ma zamiar dotrzeć do cieszącego się wielkim szacunkiem maga Aureliana z Xanty. Ma nadzieję, że on pomoże sprowadzić Jardala z Międzyświata i uzdrowić go.

Tymczasem Sirocco, kapitan Gwardii Morgh, udaje nieprzytomną w obawie przed gniewem Księcia. Zawiodła, zbyt intensywnie torturując Jardala i pozwalając jego towarzyszom go odbić. Matka dziewczyny, Giulia Baldini, próbuje ją chronić.

CZAS INNYCH MIEJSC

Cantia von Essen spoglądała w lustro. Z jasnej twarzyczki o nieco trójkątnym podbródku patrzyły na nią duże, wilgotne, sarnie oczy, na które opadały gęste ciemnokasztanowe włosy. Biała szata luźno opinała szczupłe, gibkie ciało siedemnastolatki.

– Pospiesz się – powiedziała Leta Therrus. – I lepiej się przebierz. Do podróży po gościńcu męski strój będzie lepszy od ubioru adeptki. Masz tu kaftan, płaszcz, spodnie i buty. I pas ze sztyletem, jeśli chcesz.

Sama Leta stała pośrodku komnaty, odziana w wełnianą suknię i ciepłą podróżną oponczę, spiętą misterną srebrną klamrą. Nadspodziewanie wysoka i dostojna.

– Czy... jesteś pewna? – zapytała baronówna.

– Oczywiście, moje dziecko – odparła cierpko czarodziejka. – Kiedy wzywa Aurelianus z Xanty, trzeba jechać. Mam do niego bezwzględne zaufanie.

– Ale...

– Chodzi ci o to, czy w moim wieku dam radę? No cóż, spróbuję. – Uśmiechnęła się. – Wierz mi, potrafię jeszcze niejedno. A ze mną na gościńcu jest bezpieczniej niż w Emain beze mnie.

Kiedy wyjechały za bramę krytym płótnem wozem, Cantia obejrzała się i obrzuciła szare mury melancholijnym spojrze-

niem. Siedziba magów, której ciężki zarys wydobywało z mroku poranne słońce, stanowiła kłębowisko zagadek, a czasem sprawiała wrażenie gniazda jadowitych żmij. Ale dla młodej adeptki była jej pierwszym na świecie domem. Baronówna wysiliła spojrzenie, próbując spoza szeroko blankowanego muru dostrzec zarys wieży z wystającym z niej balkonem Lety.

– Nie oglądaj się – szepnęła siedząca obok na kozle wiekowa czarodziejka. – Nigdy nie oglądaj się wstecz.

Minęły tonące w porannych mgłach wioski Itar i Derk, gdzie pomiędzy zabudowań dobiegało pianie kogutów i muczanie krów. Dalej gościniec zagłębiał się w wilgotny las, pełen mchów, paproci i rozśpiewanych ptasich głosów. Słońce wschodziło coraz wyżej i zaczynało już przeświecać na ukos pomiędzy pniami. Cantia wciągnęła w płuca rześkie poranne powietrze i nagle poczuła, że dobrze jest po prostu żyć i tak sobie podróżować w nieznanie.

Baronówna bardzo szybko nauczyła się powozić i często siedziała na kozle sama, podczas gdy starsza czarodziejka wypoczywała we wnętrzu wozu na wygodnym posłaniu ze skór. Ze związanymi włosami, w chłopcim stroju i kołpaczku z piórkiem Cantia mogła sprawiać wrażenie młodego pacholika, toteż w nielicznych spotkaniach z chłopskimi i kupieckimi wozami oraz konnymi rycerzami nie wzbudzała szczególnego zdziwienia. W razie zaś konieczności wystarczało, żeby ze środka wyłoniła się twarz Lety, która z kolei aż nadto wyglądała na doświadczoną czarodziejkę. Rozpuszczone, ciągle jeszcze gęste srebrne włosy wieńczył diadem z intensywnie błyszczącą na czole diamentową gwiazdą. Pod nim świeciły prawie równym blaskiem świdrujące, przenikliwe czarne oczy. Gdyby tego było mało, wystarczała z reguły runa nakreślona w powietrzu piękną, choć niemłodą białą dłonią. Nie było odważnego, który po tej demonstracji kontynuowałby zaczepkę.

Nocowały z reguły we wsiach, korzystając, dopóki było to możliwe, z dobrodziejstw jakiej takiej, ale zawsze cywilizacji. Wieśniacy bardzo chętnie udzielali jadła i gościny, a w zamian za to Leta leczyła ich choroby i wypowiadała dobroczynne zaklęcia nad dziećmi i chudobą. Niekiedy pozwalała, by z mniej poważnymi dolegliwościami radziła sobie Cantia. W ten sposób, gdy gościniec minął gęściej zamieszkane tereny i skręcił z powrotem w las, miały pełen wóz jaj, serów, podsuszanych kiełbas i wędzonych ryb. Leta żartowała, że brak im bodaj w inwentarzu tylko żywych kurczaków, którymi miejscowi również bardzo chętnie by płacili. Nie sprzeciwiała się gromadzeniu żywności, choć z Emain wzięły ze sobą całkiem solidne zapasy.

Bór zgęstniał, a gościniec stopniowo zwęził się do pooranej brudami kół drogi wiodącej małym wąwozem. Boczne ścieżki skręcały czasem w kierunku meandrującej w pobliżu rzeki. W tych miejscach znajdowała się zwykle udeptana trawa i ślady po obozowiskach przejeżdżających tamtędy podróżnych. Wieczorami zatrzymywały się na takich polanach. Cantia rozpałała ogień za pomocą magii, po prawdzie nie mając pojęcia, jak należałoby to zrobić normalną metodą, wieszała nad nim mały kociołek i gotowała ciepłą strawę, którą Leta określała zwykle jako warunkowo zdatną do jedzenia. Warunkiem było to, żeby sama Leta skorygowała na koniec kulinarne poczynania swojej młodej przyjaciółki. Kiedy ograniczyła się do magicznego usunięcia z domniemanej zupy nadmiaru soli, Cantia uznała, że robi zdecydowane postępy. Coraz rzadziej czuła tkwiącą gdzieś koło serca bryłę lodu. Coraz rzadziej budziła się w nocy zlana potem, nie pamiętając i nie chcąc pamiętać snów. Za to wysysała krew z palców poranionych lejcami i cięciwą łuku. Krew miała mocny, słony smak.

*

Verena Haage oparła nogi o jedwabny puf, pilnując, aby spowijająca je szkarłatna aksamitna suknia odpowiednio się udrapowała. Odrzuciła w tył kaskadę czarnych włosów i wypila łyk wina z małej kryształowej czarki. Jej wzrok przesłiznął się po wnętrzu namiotu, rejestrując brokatowe zasłony, kosztowne wełniane kobierce, kufry z cedrowego drzewa, wyścielające podłogę i siedziska skóry, mały stolik inkrustowany bawołą kością. Mimowolnie pomyślała, że jak na potrzeby i gusta najemnego kondotiera wewnątrz namiotu urządzone zostało ze zbyt wielkim przepychem. Widać właściciel lubił się pokazywać. Darowała sobie jednak komentarze.

Naprzeciw Vereny siedział czarodziej w fioletowym płaszczu. Światło świecy lśniło w rubinowym oku pierścienia na jego palcu. Pod płaszczem nosił czarny adamaszkowy kaftan, ozdobiony łańcuchem z matowego złota. Wysokie, miękkie buty z klamerkami i wąskie, doskonale skrojone spodnie dopełniały stroju. Tyle że wysuwająca się z rękawa kosztownej odzieży dłoń była uwiędła i pomarszczona. Długie, założone za uszy włosy czarodzieja zdradzały ślady przeredzenia i siwizny. Sine worki otaczały zmęczone, przekrwione oczy. Wyrazisty podbródek z małym wgłębieniem z pewnością nie został tego dnia ogolony.

– Jak się masz, Lagercranz? – zapytała Verena Haage. Czarodziej odkasznął i machnął ręką.

– Kopę lat – kontynuowała, odrzuciwszy w tył włosy. – Ile to? Nie będę liczyła. I, jak widzę, niewiele zmądrzałeś. Wciąż fascynują cię kosztowne tkaniny, błyszczące kamyczki i brzęczące monety. Ciągłe wkupujesz się w łaski możnych albo takich, którzy na możnych wyglądają. I wciąż nieudolnie próbujesz kopiować Adelarda z Tradivy.

Czarodziej posłał jej wściekle spojrzenie.

- A tymczasem, jak widzę – mówiła dalej, szukając wygodniejszej pozycji na jedwabnych pufach – nawet zakłęcia powstrzymujące upływ czasu ci nie wychodzą. Starzejesz się, Lagercranz. Nieuchronnie się starzejesz.

- Idź do wszystkich demonów, Haage – odchrząknął wreszcie mag. – Po co tu przyjechałaś? Szydzić ze mnie?

- Oj, gniewamy się. – Czarodziejka zacmokała z udanym zmartwieniem. – Nieładnie. Ktoś już zapomniał, jak klękał przede mną, błagając o pukiel mych włosów jako preludium do innych łask. Obiecując, że gotów jest zrezygnować z bycia magiem i z życia w Emain Avallach.

- Lata temu – warknął. – Jak raczyłaś słusznie zauważyć. Ponawiam pytanie. Po co właściwie przyjechałaś?

- Zdobyć pewne istotne informacje. – Czarodziejka odchyliła się i oparła o haftowane poduchy, unosząc ręce, żeby jej biust odpowiednio zarysował się pod suknią. – Ale widzę już, że traciłam czas. Ty ich nie masz.

- Pewnie nie mam. Nie jestem więc łupem godnym twojej uwagi, Haage. Możesz już przestać się wystawiać na sprzedaż.

Palce czarodziejki zacisnęły się na kryształowym pucharku, a zimne oczy zaśniły niebezpiecznie.

- Za droga jestem – syknęła. – Nie stać cię.

- W tej chwili pewnie nie. Ale za jakiś czas... kto wie. – Lagercranz podrapał się za uchem. Na jego chuderławych ramionach i zapadniętej piersi adamszkowy kaftan wisiał jak na kołku.

- Życzę ci serdecznie takiego powodzenia, żebyś mógł zacząć żywić podobne złudzenie. Ale zapewniam, że nigdy, przenigdy nie będzie cię stać.

- Być może. I wiesz, Haage, jakoś nie będę płakał. Jak wspomniałaś, minęło wiele lat. Towar już nie ten, a i etap padania na kolana dawno mam za sobą.

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, czarodziej nazwany Lagercranzem leżałby już z pewnością na jedwabnych podusz-

kach nie tylko martwy, ale i zmumifikowany. W tej chwili jednak płachta wejściowa zakołysała się i do środka wkroczył wysoki, szczupły mężczyzna, odziany w czarny skórzany ku-brak naszyty srebrzonymi płytami, obcisłe czarne spodnie i wysokie buty. Długi czarny płaszcz spięty miał klamrą wy-sadzaną ametystami, a biodra opinał mu pas ze srebrnych płytek, do którego przypasany był miecz ze srebrzoną głowicą, w którą wprawiony był ogromny rubin. Verena złowiła okiem błyski ametystów i pomyślała, że czern, fiolet i srebro w mę-skiej odzieży będą ją prześladowały do końca jej dni.

– Przykro mi, że muszę przerwać tę miłą pogawędkę – kondotier oparł kostki palców o inkrustowany stolik – ale niedługo czas nam w drogę. Musimy się pożegnać, pani ma-giczko. Nie zabieram kobiet ze sobą.

– To się jeszcze okaże – syknęła czarodziejka. Była już roz-złoszczona jak kotka i z trudem nad sobą panowała. Jej palce mimowolnie zakrzywiły się lekko i posypały się między nimi drobne iskry.

Kondotier zwrócił się w jej kierunku. Czarne, rzadkie wło-sy lepiły mu się do czoła, a pośrodku twarzy widniał wydatny, zakrzywiony nos, dzięki któremu zyskał miano Jastrzębia. Oczy były szarozółte, o ostrym, przenikliwym spojrzeniu, jak u drapieżnego ptaka. Mówiono o nim, że wyrok śmierci na dezertersów i na tych, którzy bez jego zezwolenia zabrali się za rabowanie podbitych grodów i gwałcenie niewiast, wydaje samym zmrużeniem powiek. Inna sprawa, że kiedy zezwole-nia udzielał, w zdobytach miastach nie pozostawał kamień na kamieniu. Od tych, którzy go wynajmowali, żądał niemożli-wie wysokiego żołdu, ale był również przerażająco skuteczny.

Verena dyskretnie rzuciła na siebie zakłęcie uspokajające.

– Dokąd tak spieszycie, panie? – zapytała słodko.

– Czy wyglądam na kogoś, kto odpowiada na pytania? – Jastrząb uśmiechnął się samym kącikiem ust. Drapieżnie.

- Nie. - Czarodziejka zamieszała wino w czarce, po czym wypła je jednym zamaszystym łykiem. - Absolutnie na to, panie, nie wyglądacie. Zdajecie się raczej być kimś, kto pytania zadaje, i to nie przebierając w środkach. Tyle że zasób odpowiedzi, które w ten sposób możecie uzyskać, jest ograniczony.

- Jest wystarczający. Możecie, pani, wierzyć.

- Upierać się jednak będę przy tym, że jest ograniczony. - Verena popatrzyła prosto w żółte, drapieżne oczy kondotiera. - Za pomocą tortur, zastraszania i przymusu uzyskacie tylko tyle, że ktoś powie wam nie to, co wie, ale to, co pragniecie usłyszeć. Czasami pewnie na tym właśnie wam zależy. Ale jeśli chcecie poznać prawdziwe odpowiedzi, musicie się nauczyć rozmawiać. Co między innymi oznacza odpowiadać na pytania.

Lagercranz po drugiej stronie inkrustowanego stolika zaczął wiercić się niespokojnie. Jastrząb wyminął go, przysunął sobie rzeźbione krzesło i usiadł, wyciągając przed siebie długie nogi.

- Sugerujecie, pani czarodziejko - wpatrzył się w Verenę swoimi oczami drapieżnego ptaka - że posiadacie pewne informacje, które mogłyby mnie zainteresować. Nie wiem, skąd czerpicie wiedzę na temat moich zainteresowań, ale załóżmy, że wam wierzę i gotów jestem, hmm... porozmawiać. Panie mają pierwszeństwo.

Czarodziejka parsknęła perlistym, wymuszonym śmiechem. Poprawiła na nadgarstku bransoletę z agatów. Nawinęła na palec czarny lok.

- Przyjeżdżasz z Castelburga - powiedziała. - Widziałam cię tam w tłumie na ulicy. Nosileś opończę z kapturem, ale ten twój nos, panie kondotierze, poznałabym w każdym zaułku portowej dzielnicy. Poza tym ktoś nieostrożny wymienił mimochodem twoje nazwisko. Czy też raczej przezwisko. I przypuszczam, że gdziekolwiek teraz się wybierasz i do kogokolwiek najależ się na służbę, tego kogoś rad byś odnaleźć.

- Ten ktoś – kondotier skrzyżował nogi – został w Castelburgu. To, gdzie teraz przebywa, zależy od przekonań metafizycznych. Prawdopodobnie ozdabia sobą koniec łańcucha w zamkowych lochach lub służy za pokarm rybom w kanale.

- Masz do niego wielki żal?

- Nie. Był dobrym graczem, który na koniec swojej kariery spartaczył akcję. I trudno. Na każdego kiedyś przychodzi koniec.

- A akcja wcale nie była prosta.

- Nie.

Umilkli na chwilę. Lagercranz wtulił głowę w ramiona i usilnie starał się udawać, że go tu wcale nie ma. Równie dobrze zresztą mogłoby go nie być, bo z całej tej aluzyjnej konwersacji niczego nie rozumiał. Proporcjonalnie do tego starał się wyglądać inteligentnie, ale równie dobrze mógłby starać się wypuścić liście i kwiatki.

- Skoro nie masz do niego żalu – podjęła czarodziejka – to zapewne ucieszy cię wiadomość, że on żyje. Do tego ma się dobrze i przebywa niedaleko stąd. Jeśli więc chcesz usłyszeć od niego, dlaczego bez czułego pożegnania wyjechał z Castelburga, twoje życzenie może się spełnić.

Jastrząb przyjrzał się jej badawczo.

- Może na takiego wyglądam – oznajmił sarkastycznie – ale z pewnością nie jestem naiwny.

- Odwrotnością naiwności – mruknęła Verena – jest pewne schorzenie zwane *paranoia*.

Lagercranz drgnął i przewrócił pucharek. Wino zabarwiło czerwienią inkrustowany stolik. Twarz Jastrzębia przypominała kamienną i nieprzeniknioną maskę.

- Dionisius Grandini – czarodziejka przerwała milczenie – przebywa obecnie najprawdopodobniej gdzieś pomiędzy Verit a Ugrią, w kompanii dwojga czarodziejów, jednego prawie nieboszczyka, kilku dziwek, jednego tworu wyobraźni i jednego młodego idioty. Nie jest to, wbrew pozorom, cyrk,

a nasz bohater chyba nie bawi się zbyt dobrze. Czy zaspoko-
iłam twoją ciekawość?

– Zaspokoisz. Jeśli dodasz do tego jeszcze jedną informa-
cję – gdzie i kiedy ich zostawiłaś?

– Domyślny jesteś. – Verena pokryła uśmiechem niepokój
i napięcie, które narastało w niej podczas tej rozmowy niczym
rzęsa na powierzchni stawu. Kondotier wzbudzał w niej irra-
cjonalny strach, podnoszący włoski na karku. Czuła, że z gry,
w którą próbowała go wciągnąć, nie wyjdzie zwycięsko, ale
nie miała innego wyjścia, jak tylko ciągnąć ją dalej. – Po-
nad półtora obrotu słońca temu, w zapyziałej karczmie na
obrzeżach Verit – odpowiedziała na pytanie. – Jak widzisz,
rozmowa całkiem nieźle ci wychodzi.

– Zapominasz, że jestem specjalistą od konwersacji. Choć
może nieco jednostronnej.

– Popracujemy nad tym. – Czarodziejka zmusiła się do
swojego zwykłego, przewrotnego uśmiechu.

Jastrząb wstał i przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy.

– Czego chcesz w zamian? – zapytał.

– Już teraz pragniesz się odwdziżyć? Tak szybko zbada-
łeś granice mojej wiedzy?

Kondotier wyciągnął zza pasa sztylet i szybkim rzutem
wbił go w stół. Ostrze utkwiło w inkrustowanym blacie i za-
drgało o włos od dłoni Vereny.

– Nie wyciągaj pochopnych wniosków – powiedział zim-
no. – Jak dotąd sprawdzałem tylko, czy warto rozmawiać
dalej. Dlatego zadałem to pytanie. A kiedy ja zadaję pytania,
oczekuję odpowiedzi, a nie kolejnych pytań. A tym bardziej
nie kobiecych gier.

Czarodziejka wciągnęła powietrze i spojrzała na niego zza
przymrużonych powiek.

– Chcę dowiedzieć się, czy wasz castelburski spisek sięga
do Emain Avallach – wypaliła.

Kondotier parsknął.

– Chyba nie spodziewasz się, że ode mnie dowiesz się czegokolwiek. Pojęcia nie mam, co wy, czarodzieje, robicie, żeby skutecznie zniszczyć siebie nawzajem.

Lagercrantz głośno wciągnął powietrze.

– Ale dużo wiesz o sprzysiężeniu zwanym Bractwem Wolnych Miast i o sytuacji w Castelburgu – stwierdziła czarodziejka. – W twojej wiedzy mogą być nici, które zaprowadzą do mojego kłębka.

– Zaciekawiasz mnie. Skąd podejrzenie, że Castelburg ma z tym cokolwiek wspólnego?

– Nie mam żadnych podejrzeń. Jedynie jakieś mętne wiadomości od zadufanego w sobie Tarrentczyka.

Jastrząb przybliżył się, wyrwał sztylet ze stołu i prześwidrował Verenę wzrokiem, nachylając się nad nią.

– Tarrentczyk?

– Jak słyszałeś – wycedziła. – Co w tym takiego niezwykłego? Nie maszerujesz chyba na Tarrent z tą swoją mikro-skopijną armią najemników?

Lagercrantz parsknął nerwowym śmiechem, który natychmiast stłumił dłonią.

– Haage, ty naprawdę ostatnio przebywałaś na jakiejś zapadłej prowincji – odezwał się wysokim, sztucznie brzmiącym głosem. – Nic nie wiesz?

– Wyobraź sobie, Lagercrantz, że nie wiem. Więc proszę, panowie, oświećcie mnie – powiedziała zimno, znów opierając nogi na jedwabnym pufie.

Czarodziej już otworzył usta, ale uprzedził go Jastrząb:

– Oficjalna wersja brzmi tak, że nad granicą Tarrentu gromadzą się wojska. Trzon armii cesarza grupuje się w pobliżu przełęczy Tarn, ale kilka kompanii szykuje się do przeprawy przez góry. To trudne, ale nie niemożliwe.

– Chcą zaatakować Południe? Wolne żarty – zachnęła się Verena. – A jak w takim razie brzmi nieoficjalna wersja?

Jastrząb wparł pięści w stół i pochylił się tak, że jego wydatny nos prawie dotknął jej czoła.

– Nieoficjalna wersja – syknął – brzmi tak samo. Z tej racji królowie i pomniejsi władcy stali się szczególnie czuli na Tarrentczyków i tarrenckich szpiegów. Rad bym się więc dowiedzieć, kim był twój Tarrentczyk i czemu ufasz jego informacjom.

Verena uśmiechnęła się z zaciśniętymi zębami. Słowami „twój Tarrentczyk” miała ochotę splunąć.

– Tego dowiesz się w swoim czasie – odpowiedziała powoli. – A na razie rada bym wiedzieć, jaką rolę ten twój mizerny oddział rynsztokowych rębajłów ma do odegrania w związku z owym rzekomym tarrenckim najazdem.

– Chyba zapominasz – wycedził zimno Jastrząb – kto tu prowadzi przesłuchanie.

– Chyba zapominasz – odpaliła – że to nie miało być przesłuchanie. Uczysz się rozmawiać, szanowny panie kondotierze.

– Ach tak. Racja. Wybacz. Nawyki zawodowe. Wróćmy zatem, łaskawa pani, do owego Tarrentczyka. Czy taka forma zadowala cię?

Verena westchnęła.

– Nigdy nie rezygnujesz, prawda?

– Nie – rozciągnął usta w drapieżnym uśmiechu. – Dla tego zawsze osiągam dokładnie to, czego chcę. A moi mocodawcy nigdy nie ośmielą się zrezygnować ze mnie.

– Twój zleceniodawcy to w tym przypadku?...

– Nie o tym mieliśmy rozmawiać – powiedział przerażająco łagodnie – tylko o Tarrentczyku.

Czarodziejka wzruszyła ramionami, bardzo się starając, by wyglądało to na nonszalancki gest, a nie wzdrygnięcie się ze strachu.

– Zupełnie nie ma znaczenia, że on jest Tarrentczykiem. Właściwość akcydentalna. Ważne jest, że mówił coś o rze-

komym spisku, którego wszystkie nici mają prowadzić do Castelburga. Nic konkretnego powiedzieć nie umiał. To naprawdę wszystko, co wiem.

– Zasmucasz mnie. – Jastrząb znów usiadł w swoim karle i oparł się łokciami o inkrustowany stolik. – Zapewne kiedy trochę się wysilisz, przypomnisz sobie coś jeszcze. Choćby jego imię i nazwisko. Oraz to, gdzie on teraz przebywa.

– On nie jest – Verena przełknęła ślinę – tarrenkim szpiegiem.

– Wzrusza mnie twoja naiwność, pani. – Jastrząb przekrzywił nieco głowę i wpatrzył się w nią pełnym troski spojrzeniem. Mniej więcej tak, jakby wąż troszczył się o mysz.

Czarodziejka pomanipulowała palcami pod stołem. Zdjęła pierścień, wsunęła go z powrotem na palec, zdjęła jeszcze raz. Po chwili ścisk w gardle ustąpił.

– Być może uspokoi cię to – powiedziała swobodnie – że on jest, o ile to możliwe, jeszcze bardziej naiwny ode mnie. To czarodziej, a do tego oderwany od rzeczywistości, zatopiony w swoich badaniach naukowiec. I, dodam złośliwie, ostatnia oferta. Sam wiesz, jak niewielki z nas, magów, pożytek. – Zatrzepotała rękami.

– A nazywa się?...

– Justin Fern. – Wzruszyła ramionami, jakby chciała dodać: „i co z tego?”.

– I, jak się domyślam, znajduję go w kompanii Dionisiusa Grandiniego?

– Domyślny jesteś. Domyślaj się dalej.

Jastrząb wstał i rozciągnął się, aż zatrzeszczały kości.

– To mi wystarczy. Zapraszam panią Haage na nocleg do namiotu, który na tę okoliczność zwolni dla niej jeden z oficerów. Rano rozjedziemy się w zgodzie, każde w swoją stronę.

– Chwileczkę! Teraz moja część. A spiski w Castelburgu?

– Spiski mogą poczekać – w żółtawych oczach Jastrzębia zamigotał złośliwy ognik – do naszego następnego spotkania. Życzę dobrej nocy.

– Zaczekaj. – Powieki czarodziejki zwięzły się mściwie. – Ja jeszcze naprawdę dużo wiem. Nie masz pojęcia, jak dużo.

– Zapewne. Tylko w tej chwili mnie to zupełnie nie interesuje. Żegnam panią.

Lagercrantz wstał i zajął się przestawianiem na stole pu-
charków i karafki z winem. Nie patrzył jej w oczy.

*

Nad obozowiskiem wstawał blade światło. Wschodnia strona nieba zabarwiła się intensywnym złotem, zwiastując słoneczną pogodę. Ale na razie wszystko spowijała rzadka, szarawa mgła. Żołnierze Jastrzębia zwijali namioty i rozrzucali popioły po wczorajszych ogniskach. Chrzęściły zakładane zbroje, rżały konie. Kondotierzy poruszali się sprawnie i bez hałasu. Z małym wyjątkiem. Żołnierz, zakuty w dyby i odarty z górnej części przyodziewy, jęczał cicho. Jego plecy, posiekane biczami, były jedną wielką raną. Na otartych nadgarstkach powstała zaschnięta skorupa krwi. Verena starała się nie patrzeć w tamtą stronę, siodlając konia.

Usłyszała kroki za plecami. Chrząknięcie, dźwięk kamyków miażdżonych czubkiem buta. Nie odwróciła się. Udała, że popręgi wymagają dodatkowego sprawdzenia i naciągnięcia od nowa.

– Zatem wyjeżdżasz. Bywaj, Haage – odezwał się.

– Zrób mi przyjemność, Lagercrantz – syknęła – i wynos się do diabła.

– Nie życzę ci źle – mruknął. Kopnął kamyk, który poszybował w powietrzu i upadł nieopodal.

– Twoje życzenia mnie, wyobraź sobie, nie interesują – warknęła Verena. – Jesteś sługusem żołdaka, tchórzem, który potrafi tylko kiwać głową i milczeć.

– Milczenie to niekiedy wielka cnota i trudna sztuka, Haage – powiedział. – Ty jej nie posiadaś.

Cios był celny. Verena zamarła na moment, ale zaraz potem wyprostowała się niczym sprężona do skoku kobra. Czarne włosy spłynęły po plecach. Kiedy się odwróciła, jej orzechowe oczy płonęły nienawiścią.

– Po to tu przyszedłeś? – rzuciła. – Powiedzieć mi to? Jesteś bardziej żalosny, niż myślałam.

– Nie. – Lagercranz odwrócił głowę i zapatrzył się na dymy z zalewanych wodą ognisk. Skrzywił się, gdy jego wzrok napotkał zakutego w dyby, okrwawionego żołnierza, który przestał już jęczeć i tylko zwisał bezradnie na poranionych nadgarstkach. Czarodziej pogładził nieogolony podbródek. Zaśnił rubin w pierścieniu na jego uwiędłym palcu. Fioletowy płaszcz z kosztownego aksamitu spływał z ramion zgrabnymi fałdami. Podobieństwo do kogoś innego, kto nosił taki płaszcz, stało się dla Vereny nieznośne i męczące – tak jakby oglądała swoją własną suknię na ciele pomarszczonej staruszki, chichoczącej złośliwie *memento mori*.

– Nie – powtórzył. Obejrzał się szybko za siebie. – Przyszedłem powiedzieć ci wszystko to, co mogłaś bez trudu usłyszeć ode mnie podczas wczorajszej rozmowy. Wystarczyło tylko grzecznie zapytać.

Verena poczuła, jak krew wypływa jej na policzki i uderza pulsującym rytmem. Odwróciła głowę. Nieco za szybko. Nie wiedziała, co robić, jeżeli Lagercranz będzie czekał na zachętę. Na prośbę, której za nic w świecie nie była w stanie z siebie wydobyć.

Ale on nie czekał.

– Nie wiem, czy Tarrent rzeczywiście stoi nad granicą i czy cesarskie wojska próbują przekroczyć góry. Ale moim

zdaniem jest to tak prawdopodobne, jak to, że orły zrezygnują z gniazd na skałach i osiedlą się razem z bocianami w wieśniaczych sadybach. Za to wszędzie szuka się teraz tarrenckich szpiegów, a kapłani sięją wśród ludu strach przed zepuciem, roznoszonym niby zaraza przez owych rzekomych wywiadowców i dywersantów.

Chciała zapytać, jaki to ma sens. Pozornie nie miało żadnego. Ale milczała ze wzrokiem wbitym w srebrne klamry przy jego butach. A on mówił dalej.

– Jastrząb jest kondotierem, służy temu, kto da więcej. Z Castelburga wrócił wściekły. Bractwo Wolnych Miast obiecało mu złote góry, po czym efektownie spaliło całą akcję, i to jeszcze zanim na dobre się zaczęła. Przedtem walczył w Tradivie i byłby wygrał, gdyby nie nagłe a niespodziewane pojawienie się tajemniczego castelburskiego Księcia. A tak – konflikt pozostał praktycznie nierozstrzygnięty. Starosta Auberich i seneszał Kayerl chyba się wystraszyli sił, które rozpętali i – ku rozpaczy takich jak Jastrząb najemników – wybrali rokowania zamiast walki do spalonej ziemi. Dogadali się.

– I cóż w tym interesującego dla mnie? – zapytała przez ściśnięte zęby Verena.

– Słowo „ja” we wszelkich odmianach stanowczo za często gości na twych ustach, piękna. – Lagercrantz znów omiótł wzrokiem obóz, pełen szykujących się do wymarszu żołnierzy. Kondotierzy zwijali ciasno płachty namiotów i pakowali je na wozy. – Czy Jastrząb wie coś na temat twego rzekomego castelburskiego spisku, rzecz trudno. Nie wykluczam tego, ale nie chcę spekulować. Powiem ci za to coś, co wiem na pewno. Nasz bohater dogadał się ze swoimi byłymi mocodawcami z Tradivy i tym razem nie zamierza dać się wyrolować. Chce wziąć sprawę w swoje ręce, a seneszał Kayerl udzielił mu swojego cichego poparcia. Wedle mojej wiedzy nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo ze strony Tarrentu. Cesarz siedzi sobie na szczyro złotym tronie w barchanowych gaciach,

a rusza się stamtąd co najwyżej do wychodka. To, że ma całe Południe w najgłębszych częściach swych trzewi, sprawia, że nie będzie się interesował tym, że tu u nas nadmiernie gorliwie łapią tarrenckich szpiegów. A tymczasem Tradiva, ustami niezliczonych propagandowych szcurów, rozgłosi wśród ludu swoje orędzie: „Tarrent nadchodzi! Łączcie się, bracia!”. A potem rękami takich Jastrzębi i tym podobnych kreatur zacznie proces pokojowego podboju – przepraszam – roztaczania protektoratu nad słabszymi sąsiadami. Ofiarą padnie Emmendath, Cantalena, Trevia i cholera wie, co jeszcze. Może nawet Blenvingard, choć to bogate i silne miasto. Możliwe, że również Enneada, bo mają tam podobno jakieś kłopoty. Pojęłaś, Haage?

Verena skinęła głową. Rumieniec wstydu i gniewu znów wypłynął jej na policzki. Miała ochotę uderzyć Lagercrantz, zanurzyć paznokcie w jego zwiędłej twarzy i przeorać ją do krwi.

– Jastrzębia nie interesuje, czy ktoś jest, czy nie jest tarrenckim szpiegiem. Jeżeli tylko pochodzi z Tarrentu, nadaje się. Nasz kondotier nie szuka prawdy, tylko ją z pełną premedytacją tworzy. Mam nadzieję, że teraz rozumiesz. Wydałaś Justina Ferna, skazałaś go na pewną śmierć. A teraz bywaj.

Odwrócił się i odszedł. Fioletowy aksamitny płaszcz zamiótł ziemię, wzniesając kłęb szarego pyłu. Verena dosiadła konia. Zobaczyła dziesiętnika idącego z rozkazem od strony, w której jeszcze niedawno stał namiot Jastrzębia, teraz zwinięty i spakowany. Po chwili zobaczyła również błysk miecza. Głowa zakutego w dyby żołnierza odpadła od karku i wlokąc za sobą fontannę krwi, potoczyła się pod korzenie pobliskiego drzewa.

*

Leta Therrus czesała włosy. Był to jej cowieczorny, niespieszny rytuał. Nucila przy tym cichą, dziwną pieśń, niema-

jąca nic wspólnego z jakimkolwiek wyobrażeniem melodii. Jej piękne, długie palce rozdzielały srebrne pasma i powoli przesuwwały po nich kościanym grzebykiem. Pieśń wzbierała lub opadała, niezależnie od ruchu dłoni. To był jedyny moment, kiedy cienka srebrna opaska z diamentem nie znajdowała się na głowie czarodziejki. Potem zakładała ją z powrotem i nie zdejmowała nawet do snu.

Cantia von Essen leżała w rogu krytego płótnem wozu, na posłaniu ze skór, i wpatrywała się w Letę. Swoje własne, kasztanowe i sięgające za ramiona włosy traktowała grzebieniem krótko i brutalnie, zazwyczaj o poranku. Nie przyszłoby jej do głowy staranne czesanie ich wieczorem. Nie uczono jej tego. Nikt jej wcześniej niczego nie uczył, chyba że za naukę uznać strofowanie, upominanie, fukanie. Siedź prosto. Nie garb się. Patrz w dół, skromnie. Milcz. Nie przystoi. Dla ciotki była przezroczysta jak duch przeszłości, jak wyrzut sumienia pozostały po zmarłej siostrze. Dla wuja... była, czym była. Pamięć o tym przypominała lepka, smolistą kałużę. Przylegała brudnymi drobinami, choćby nie wiem jak starannie ją omijać. Służące w tamtym ponurym, wietrznym dworzyszczu ignorowały ją, ledwie przynosząc dzban letniej wody i kostkę popielnego mydła, świadome, że i tak nie spotka ich żadna kara za takie lekceważenie panienki. O pachnących mydelkach z wielkowiejskich perfumerii Cantia mogła tylko pomarzyć.

Pieśń urwała się. Leta schowała grzebień do szkatułki, założyła z powrotem opaskę z diamentem, uśmiechnęła się ciepło do podopiecznej i zdmuchnęła świecę. W ciemności słychać było, jak układa się długo i starannie na posłaniu ze skór. Cantia obróciła się na drugi bok. Płócienne pokrycie wozu nie tłumilo odgłosów z zewnątrz. Głęboko w lesie hukały sowy, w pobliskich trawach grały świerszcze, drobne gałązki trzaskały pod łapami mniej ostrożnych drapieżców. Ostre światło księżycy wciskało się w szpary. Cantia podrapała swędzącą

bliznę na grzbiecie dłoni i pomyślała, że musi jutro naprawić poluzowany popręg konia.

*

Było ich dwóch. Starszy z rzadką, siwiejącą szczeciną na brodzie i młodszy, z pasmami tłustych ciemnych włosów opadającymi na twarz. Niedopasowana odzież zdradzała pochodzenie od innych właścicieli. Szpakowaty miał na sobie zbyt obszerne spodnie, a do tego wytarty i wyplamiony myśliwski łośiowy kaftan. Uzbrojony był w kuszę, wyszczerbiony miecz i piękny, wysadzany klejnotami sztylet. Jego towarzysz nosił białą jedwabną koszulę pod wystrzępionym, sztywnym od potu i cuchnącym kaftanem, a jego broń, równie eklektyczna jak u kompana, składała się z miecza przypiętego rycerskim pasem, łuku i zbójcekiej pałki. Mógł być raubritterem, którego długie buszowanie po gościńcach całkiem zrównało z pospolitymi rozbójnikami. Ale nie musiał.

– Jeden wóz? – Starszy podrapał się z namysłem po ciemieniu. – Od reszty się odłączyli czy jak? A gdzie warty?

– Franca ich tam wie – mruknął drugi. – A może oni sami się ostali? Może kto na tym wozie umiera od jakiej zarazy? Kupce chciwe są, drogi przez chorego opóźnić nie będą, a i sami zarażać się niechętni.

– A my to może chętni. – Szpakowaty splunął przez zęby.

– Ale sprawdzić trza. Taka nasza robota. – Młodszy przesunął łuk na plecach. – Niewdzięczna. A poza tym – dodał – wtedy koni by nie zostawili. A tu konie dwa zacne niby z rycerskiej stajni.

– Cichaj – syknął nagle pierwszy. – Patrzaj tam.

– A niech cię – westchnął raubritter. – Pacholik młody.

Cantia wychyliła głowę z wozu, sprawdzając, czy na pewno jest już dzień. Inspekcja wypadła pomyślnie, więc ziewnęła

szeroko, potargać ręką włosy, nabierając przekonania, że należałoby je umyć, po czym zeskoczyła na ziemię. Zaczynała odkrywać zalety zarówno spania w ubraniu, jak i chodzenia w spodniach. Podeszła do wygasłego ogniska i kopnęła na wprost spaloną głownię. Wzniósł się w górę mały obłoczek popiołu, ale pod spodem był jeszcze żar. Wzięła mały kociołek, który wieczorem starannie wyszorowała, i zacerpnęła trochę wody z przepływającego obok strumienia. Potem zagłębiła się w sosnowy las i zaczęła znosić suche gałązki, rzucając je obok wczorajszego paleniska. Po czym doszła do wniosku, że chyba potrzebuje iść siusiu.

Cantia była baronówną. Niezależnie od nauki chodzenia w spodniach, czyszczenia koni i gotowania stawy na ogniu pod gołym niebem, do pewnych czynności odnosiła się z oporami właściwymi szlachciance. Oznaczało to, że do spraw fizjologicznych podchodziła z zawstydzeniem zupełnie obcym ludziom wychowanym na wsi. Musiała znaleźć nie tylko krzaczek, ale miał to być krzaczek dobrze ze wszystkich stron osłonięty, co oznaczało w praktyce całą gęstwinię krzaczków. Poszukiwania gęstwiny odpowiednio szczelnej i osłoniętej zwykle zajmowały trochę czasu.

Tym razem dość szybko wypatrzyła bujną kępę jałowca i ściągnęła spodnie.

– Nie pacholik, a dziewczyna – usłyszała szorstki głos i za chwilę mocne uderzenie powaliło ją na ziemię. Silna dłoń przygięła jej twarz do leśnego mchu. Poczowała na karku smrodliwy oddech przetrawionego piwa, paskudnego żarcia i ciała, które przynajmniej od dekady nie zaznało kąpieli. Ohydny, lepki język polizął jej ucho.

– Sama nogawice ściągnęła, popatrz. – Drugi głos zabrzęczał trochę dalej. – Widać śwędzi dziewczynkę, oj śwędzi. Już my cię podrapiemy, kruszyno. Aż zaśpiewasz.

Zrozumienie przyszło nagle. Zaczęła się wić i szarpać. Ból. Żelazny uścisk. Zamierający krzyk.

– Albo lepiej nie zaśpiewasz – syknął tuż przy uchu śliski głos – bo towarzystwa nam tutaj nie potrzeba. Aż skończymy. A wtedy szyjkę ukręcimy zgrabnie. Nie bój się, gołąbeczko. Nawet nie zaboli.

– A potem towarzystwa sobie poszukamy na twoim wozie – zarechotał drugi. – Jeśli nadobne, także potańcujem żdziebko, a jeśli mniej nadobne, szyjkę utniem.

Krzyk. Bulgot. Mgła przed oczami. Proszę, wuju, nie. Już nie będę. Uwodziłaś mnie, sama mnie uwodziłaś. No, nie wrywaj się już. Bądź grzeczna. Przecież też chcesz. Nie udawaj, że nie chcesz. Hevardzie, to dziecko jest chyba niedorozwinięte. Patrzy przed siebie jak drewniana lalka. Mgła. Ciemna mgła.

Ten pierwszy przydusza ją do ziemi, drugi przemocą rozsuwa jej nogi. Krzyk. Krzyk stłumiony ohydną, śmierdzącą dłońią. I jeszcze jeden krzyk.

I nagle rozbłysk. Błękitne światło, które unosi raubritterów w powietrze i z rozmachem uderza nimi w pnie sosen. Rozpięte spodnie opadają im komicznie. Leta Therrus stoi naprzeciw, prosta, wyniosła, otoczona delikatną białą poświatą emanowaną przez diament na czole. Długie siwe włosy spływają po jej ramionach. Unosi lekko piękną dłoń.

Szpakowaty bełkocze jakieś niewyraźne przekleństwa i usiłuje dosięgnąć sztyletu. Młodszy pluje wybitymi zębami i gramoli się spod sosny, wyciągając miecz.

– Nie – mówi Leta i wykonuje mały gest dłońią. Broń rozbójników wyślizguje im się z rąk i absurdalnie zawisa w powietrzu.

– O ja chędożę... – jęknął starszy. – Wiedźmaaa...

– Nie uczynicie już nikomu krzywdy. – Spokojnemu głosowi Lety towarzyszy gest wzniesienia obu dłoni, a potem pchnięcia ich do przodu. – Żadnej kobiecie... – Wiszące w powietrzu miecze szybują ku właścicielom i szybkim ruchem wbijają im się w podbrzusze. Rozlega się dziki, nieartykułowany, podwójny wrzask bólu.

– ...ani żadnemu mężczyźnie – kończy wiekowa czarodziejka. Łuk i kusza wykonują obrót w powietrzu, a strzały, wyrwane niewidzialną siłą z kołczanów, same układają się w naciągniętych cięciwach. Pierwsza trafia szpakowatego tuż poniżej ramienia, przeszrywając na wylot i przyszpilając do drzewa.

– Litości, pani... – jęczy młodszy, konwulsyjnie zaciskając ręce na mieczu. Jego dłonie powoli wypełniają się krwią. Na ustach wykwitają czerwone bąble.

– Jestem Strażniczką Bram – mówi zimno Leta. – Nie znam litości.

Strzały wysuwają się z kołczanów jedna po drugiej. Łuk i kusza szyją umiejętnie, trafiając raz za razem w ręce, torsy i nogi. Starszy wyje. Młodszy konwulsyjnie drapie korę drzewa. Potem słychać już tylko cichnący charkot. Po chwili rozbójnicy przypominają dwa groteskowe, skrwawione jeże, przyszpilone do pni sosen, drgające w agonii. Wtedy czarodziejka wykonuje ostatni gest. Miecze wbijają się głębiej w ciała i tną od dołu w górę, wylewając na ziemię parujące wnętrzości. Rzęzenie ustaje wolno, a pęcherzyki krwi na ustach przestają rozpryskiwać.

Cantia zgięła się w pół i wymiotowała długo, wstrząsana drgawkami. Leta Therrus pochyliła się nad nią i długo gładziła jej włosy.

– Chodź, moje dziecko – powiedziała cicho. – Musisz się umyć. A potem zabiorę od ciebie obrzydzenie i strach. Ale nienawiść zostawię.

*

– Od dawna niczego mnie nie uczysz – powiedział Bertoglio di Nero do swojego podstarzałego preceptora, Agostino Valli. Valli czknął i zapatrzył się przed siebie. Mimo wysiłku nie mógł dostrzec w stojącym przed nim kuflu ani odrobiny piwa. Nawet maleńkiej kropli na dnie.

– Ładna mi podróż edukacyjna – narzekał dalej Bertoglio. – Od gospody do gospody. W sakiewce już pomału wi-
dać dno, a jak na razie oglądałem tylko kamień, który posta-
wili starożytni Eriowie. I bibliotekę w Tradivie. Z zewnątrz.

– Bzzllurp – odpowiedział Valla.

– A szacowny rodziciel po powrocie odpyta mnie ze wszyst-
kiego, wyindaguje w kwestii owych skamieniałości, które sku-
pować mieliśmy po drodze. Tudzież rękopisów. Tudzież języka
staromedyjskiego, tarrenckiego i nordyjskiego, które miałem
jakoby przyswoić – jęczał dziedzic rodu di Nero, albowiem
jego również wypite piwo wprawiło w nieco żałościwy nastrój.
Nie doczekał się reakcji.

– Zamiast opisywać starożytne ruiny, liczę tylko pchły
w przydrożnych szynkach – kontynuował litanie narzekań.

Gospoda, w której siedzieli, położona była przy ruchliwym
trakcie, wiodącym aż znad morza do Emmendath i dalej,
i o tej porze dość zatłoczona. Główną izbę zajmowali przede
wszystkim kupcy różnych maści wraz z tabunami pachółków
i cechowych uczniów, a czasem nawet bab z dziećmi. Ubożsi
handlarze wędrowali od miasta do miasta z całym dobytkiem,
a ich krzykliwe połowice i umorusane pociechy czyniły har-
mider niczym na jarmarku. Na dziedzińcu tłoczyły się tabuny
koni i stada owiec. Na płóciennych wozach dały się trzymane
w klatkach kury i gęsi. Od czasu do czasu trafiał się w zajeź-
dzie bogaty bankier, który wynajmował dla siebie oddzielną
izbę i hojnie płacił złotem, albo znacznie mniej zamożny ry-
cerz, siedzący dla odmiany w kącie i przeżuwiający baraninę
z grochem z miną zdobywcy świata.

Leta Therrus i Cantia von Essen pozostawiły swój wóz na
uboczu i poszły pieszo do gospody, starannie omijając przyzmy
końskiego nawozu. Stanąwszy w drzwiach, wiekowa czaro-
dziejka rozejrzała się uważnie i uniosła brwi. Wolne miejsce
jakoś nie chciało samo się znaleźć. To nie było duże miasto,

gdzie magów rozpoznawano od razu i skwapliwie schodzono im z drogi. Drobni kupcy i wagabundzi wszelkiej maści popasali dalej w najlepsze, przekrzykując się znad parujących półmisków i kufli z piwem. Cantia poczuła, że skręca ją z głodu. Leta wzruszyła ramionami i zaczęła przepychać się do przodu.

– Czy znajdzie się tu wolne miejsce?

Bertoglio di Nero ze zdziwieniem spostrzegł, że pochyła się nad nim kobieca postać o siwych, spływających na ramiona włosach, w prostej białej szacie i z dziwnym, błyszczącym diamentem nad czołem. Zza jej ramienia wyglądała trójkątna twarzyczka młodej dziewczyny z buntowniczo nastroszoną grzywą brązowych włosów.

– Ttak... jak mniemam – wyjąkał i posunął się na ławie, szturchając jednocześnie w ramię swego preceptora, zapatrzonego szklanym wzrokiem gdzieś w krainę poza zasięgiem rozumu. Agostino Valla ocknął się, skoncentrował spojrzenie, drgnął zaskoczony i również ustąpił miejsca na ławie. Usiadła obok niego dziewczyna. Skromnie, na samym brzeżku.

Czarodziejka za to rozsiadła się swobodnie przy di Nero, gestem pięknej dłoni przywołała karczmarza i zamówiła zupę cebulową, pieczone kurczęta ze smażonymi ziemniakami i sałatą, kandyzowane orzeszki oraz lekkie południowe wino. Bertoglio przełknął ślinkę. W towarzystwie Valli już od dawna wyczerpał finansowe rezerwy i kontentował się chlebem z serem, a w przypływie kulinarnej rozpusty baraniną z grochem. Toteż jego zachwyty nie miał granic, gdy po przyniesieniu potraw nieznamoma kobieta uprzejmie zaprosiła go do korzystania z dobrodziejstw stołu.

– Pozwolicie, panowie, że się przedstawię – rzekła kurtuazyjnie, jakby nie dostrzegając, że co najmniej jeden z jej przypadkowych towarzyszy znajduje się w stanie, który można by określić jako lekką i przejściową niedyspozycję. – Jestem

Leta Therrus. Z Emain Avallach. A to moja podopieczna i przyjaciółka, Cantia von Essen.

Jeśli próbowała wywołać jakiś efekt, przeliczyła się. Bertogliowi di Nero nazwa Emain Avallach nie mówiła zupełnie nic. Za to w oczach Agostino Valli nagle zapaliły się światełka, świadczące o chwilowym powrocie kontaktu z rzeczywistością.

– Czarodziejka – zachrypiął.

Leta skinęła mu głową z pełnym wdzięczności uśmiechem. Bertoglio rozdziawił usta niczym wiejski głupek. Ciemnowłosa dziewczyna uśmiechnęła się złośliwie. Wyglądała, jakby miała ochotę pokazać mu język.

– To piękna rzecz, być magiem – powiedział nagle Agostino Valla sentencjonalnym tonem. Jego uczeń nie spodziewał się, że mistrz potrafi w swoim obecnym stanie wygłosić jedno sensowne zdanie bez jąkania się, i to niezawierające prośby o piwo.

– Zależy, jak na to patrzeć – podjęła uprzejmie Leta Therrus. – Zdaje się, panie, że jesteś mędrcom i mógłbyś uprzyjemnić nam czas pożyteczną konwersacją. Wybacz zatem, jeśli osmielę się zaproponować pewien lek na twoje... hmm, dolegliwości.

Sięgnęła ręką do podręcznej sakiewki i wyjęła z niej mały kamień, który następnie wrzuciła do stojącego przed uczonym pucharu z winem.

– To małe remedium powinno zneutralizować... pewne przykre skutki. Jest trochę gorzkie, ale nie sądzę, żeby stanowiło to wielki problem. – Wyszukany język czarodziejki i fakt, że traktowała Vallę, jakby miała do czynienia z uczonym dotkniętym lekką, wstydliwą dolegliwością, sprawiały, że Bertoglio zaczął się zastanawiać, czy ta istota z innego świata na pewno zdaje sobie w pełni sprawę z tego, gdzie i w jakich okolicznościach się znajduje.

Tymczasem jego preceptor podniósł puchar prosto do ust i gładko wypił zawartość.

– Dziękuję – wyartykułował całkiem trzeźwo. Po czym, niezachęcany przez nikogo, chwacko zabrał się do kurczaków i sałaty.

– Dokąd droga prowadzi? – zapytała białowłosa.

– Przed siebie – mruknął Bertoglio.

– Istotnie, przed siebie, przed siebie – przytaknął nauczyciel. – Gdzie się trafi coś do zobaczenia, bo to podróż edukacyjna. Pozwolicie, wielmożne panie, że ja z kolei się przedstawię. Jestem emerytowanym uczonym akademii w Fiorentino. Na starość przyszło mi zostać wychowawcą tego tu urwisa, jedynej latorośli szlchetnego rodu di Nero. Zwą mnie Agostino Valla. Zapewne musieliście, pani, o mnie słyszeć.

– Prawdę rzekliście, słyszałam. – Skinęła głową. Bertoglio pomyślał, że chyba się przesłyszał. – Czytałam wasz traktat filologiczny o pochodzeniu nazw roślin w języku medyjskim i małą rozprawę astronomiczną na temat ekliptyki Słońca. Oraz, o ile pamiętam, katalog starożytnych tabliczek glinianych z napisami w różnych językach.

Valla zarumienił się po czubki uszu.

– Wyszły spod mego pióra także inne dzieła i rozprawy – dodał.

– Ach tak. – Ton Lety sugerował, że nie wierzy, choć stara się przekonująco udawać coś przeciwnego.

– A dokąd wy zmierzacie? – zapytał uczony. – Przybywacie, jak rozumiem, z samego Emain Avallah?

– W istocie. A cel podróży to żadna tajemnica. Podróżujemy do Xanty.

– Cudowne miejsce – rozpromienił się Valla. – Położone tam, gdzie nasze południowe krainy prawie stykają się z Pustą Ziemią z jednej strony, a z drugiej z Górami Solnymi, za którymi leży już Tarrent. Przed wiekami mieściła się tam siedziba pewnego odłamu stowarzyszenia Strażników Groty z Evannes. Pełno tam ruin i różnych rękopisów poukrywanych po jaskiniach. Czasem trafi się jakaś rzeźba czy posąg bóstwa. A czarodzieje, którzy tam potem rezydowali, swoim

zwyczajem zbudowali wieżę i zgromadzili w niej podobno całkiem okazały księgozbiór.

Bertoglio zdumiał się, bo tak długiego monologu na tematy niezwiązane z piwem już od dawna nie słyszał od swojego starego preceptora. Tymczasem Valla rozochocił się na dobre i ciągnął dalej:

– Możecie podróżować głównym gościńcem aż do samego Emmendath, stamtąd dopiero skręcając na wschód, na trakt zwany Pustą Drogą, ponieważ prowadzi do Środka Świata, do Pustej Ziemi. Tam nie radzę jednak się udawać, ale to już, pani magiczko, sami wiecie najlepiej. A jeśli czasu wam starczy, po drodze naoglądacie się prawdziwych cudów. Jest w Kemecie cudowny posąg sfinksa, takiej ni to lwiej, ni to człowieczej, ni to ptasiej poczwary. Cały złocony, o oczach wysadzanych szmaragdami. Ogromny. Strzeże go we dnie i w nocy kohorta specjalnych strażników, inaczej ludność miejscowa już dawno by to dziwo na złote skorupy połupała i wyposażyła potomków zbudowanymi za tę cenę niegustownymi budowłami. Bo trzeba wam wiedzieć, że budują tam koszmarne, wszystko w kształt ściętej piramidy.

– Durnie – skomentowała pod nosem Cantia, odzywając się po raz pierwszy od momentu przyłączenia się do tej osobliwej kompanii.

– A jeszcze wcześniej – ciągnął nauczyciel, wspierając swoje słowa coraz żywszą gestykulacją – zobaczycie możecie świątynię bogini Antarie w Efessie, wspartą na sześćdziesięciu marmurowych kolumnach. Kraj tam bogaty – ziemie żyzne, gaje oliwne, winnice, stada kóz i owiec, wszelkiego dobra obfitość. W samym Efessie pałaców mnóstwo, pomniejszych świątynek, rzeźb, malowideł i tych, którzy z nich żyją: artystów, muzyków, rzeźbiarzy, malarzy, a i filozofów niemało – zakończył, uśmiechając się znacząco.

– Niestety, nie po drodze nam owe cuda – odpowiedziała Leta, z gracją krojąc kurczaka nożem. Di Nero gapił się na

to niczym owca w płot. Sam, choć dobrze urodzony, miał szczerą chęć wziąć udko w dłoń, ograniczając się co najwyżej do ocierania serwetą skapującego po brodzie tłuszczu. Tylko jakoś nie wypadało. – Chcemy jak najszybciej dotrzeć do celu – kontynuowała czarodziejka – więc edukację trzeba będzie trochę odłożyć w czasie. Co nie znaczy, że zupełnie zaniechać. – Uśmiechnęła się przez stół do skulonej na brzegu ławy i nastroszonej Cantii.

– Jeśli wam tak pilno, pani – Valla wręcz tryskał humorem i chęcią niesienia pomocy – to jest gościniec inny, wiodący w stronę gór, aż do Przełęczy Tarn. Tamtędy przechodzą karawany kupców, którzy krążą pomiędzy Tarrentem a Wolnymi Miastami na południu. Ci, którym spieszo do Verdi, też tamtędy chodzą, jeśli nie chcą się przedzierać przez Góry Błękitne, gdzie droga znacznie krótsza, ale trudna, skalista, stroma, wozy ledwie przejeżdżają, a i od zbójców się roi. Przeprawa możliwa jest jednak dla tych, którzy nie zboże ani oliwę wiozą, ale to, co tylko verdyjscy piraci oferować mogą: perły, bursztyn, jedwabie, bisior, dziwne czarne drewno, hebanem zwane, imbir, cynamon, kardamon, goździki...

– O gościńcu kupieckim mi wiadomo – przerwała czarodziejka. Bertoglio pomyślał, że w uzasadnionej obawie, czy jego preceptor kiedykolwiek skończy. – Coś jednak wspominaliście, panie, o drodze do Xanty...

– Jest taka droga – przytaknął Valla, energicznie podnosząc puchar z winem i kulturalnie wypijając długi łyk. – Prowadzi od Przełęczy Tarn wzdłuż południowego pasma Gór Solnych, aż do Xanty, Evannes i dalej, w kierunku Pustej Ziemi. Obecnie prawie całkiem już zapomniana, zwana była niegdyś Drogą Mędrców, nią bowiem północni mistrzowie wyruszali zbadać tajemnice grot, w których odbywały się misteria. Tarrentczycy też miewali mistyczne ciągoty – wyszczerzył w uśmiechu rzadkie zęby – choć dziś zapewne trudno w to uwierzyć.

– Czy jednak aby ta droga ciągle jeszcze nadaje się do użytku? – wyraziła wątpliwość Leta.

– Jak najbardziej – Agostino Valla rozpromienił się z dumy. – Szedłem nią.

Przez chwilę stary nauczyciel napawał się pełną szacunku i zdziwienia ciszą, która zapanowała po tym stwierdzeniu.

– W jakim stanie jest ten gościńiec? Przejedzie nim wóz? – zapytała rzeczowo czarodziejka.

Agostino skinął głową.

– To starożytny trakt – wyjaśnił. – Bity, a na trudniejszych odcinkach układany z kamieni, które mogły co prawda się miejscami wykruszyć, ale nie uległy poważniejszym zniszczeniom. Byłem tam w młodości, całe lata temu, ale nie podejrzewam, żeby cokolwiek się zmieniło. Pewnie nawet gospód nie wybudowali – westchnął żałościwie. – Nikt tamtędy nie chodzi i gdyby nie to, że trasa wiedzie przez górskie pustkowie, dawno by pewnie wszystko zielskiem zarosło. Ale, pani, przyjemniejsza jest droga prowadząca bardziej na południe, jako rzekłem, gościńcem na Emmendath, gdzie po drodze i świątynię ową, i złotą maszkarę można zobaczyć, i świątyniek różnych, kamieni z napisami bogactwo wielkie. Gdybym tedy mógł ofiarować...

– Nie – przerwała stanowczo Leta. – Bardzo zależy nam na czasie. Pojedziemy kupieckim gościńcem do Przełęczy Tarn, a dalej Drogą Mędrców.

Bertoglio zauważył, że dziewczyna o trójkątnej twarzy czcnie podniosła wzrok na swoją starszą towarzyszkę i poszukała w jej twarzy zrozumienia. A może odpowiedzi.

*

Noc kota, dzień sowy: Gliniana Pieczęć
Copyright © Marta Kładź-Kocot
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-143-7
epub ISBN 978-83-7995-144-4
mobi ISBN 978-83-7995-145-1

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Małgorzata Maksymowicz
Korekta: dr Mirosław Gołuński
Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl